Człowiek młody, to i głupi. Rzuca się jak ryba w sieci. Facebook, YouTube, WhatsApp, WeChat, Instagram, TikTok, Twitter… Nie wymieniłem, co łatwo zauważyć, QQ i RuNet-u; aż tak głupi nie byłem, żeby dać się im schwytać.

Młodych trzeba odpowiednio zanęcić, a potem wystarczy zarzucić sieć i rybka bierze się do wywnętrzania, pokazywania w dobrym świetle na tle dennego mułu. Nie byłem wyjątkiem – maleńka płotka, podkarmiana marzeniem, by zostać big fishem. Pokazywałem się, gdzie trzeba, nawet tam, gdzie mnie nigdy nie było – z deską na spotach Bora Bora, Dahabu czy Malediwów, w masce do nurkowania i z płetwami na Shark and Yolanda Reef, w Wadowicach na kremówkach (ot tak, dla jaj), w bitwie pod Grunwaldem w roli nagiego miecza Jedi, na szczycie K2, ba, nawet na samym dnie.

Słitfocia – ja, leżący w Rowie Mariańskim – zrobiła niemałe wrażenie. Wielu żałowało, że nie wpadło do niego przede mną. W człona lajków zabrałem im sprzed nosa. Podsumowując – bywało się tu i tam. Skoro są techniczne możliwości, to dlaczego nie być? Sieć wciąga do bycia, tu i tam, i koniecznie teraz.

Robiłem sobie w tych głupich, szczenięcych czasach selfie z kim trzeba, albo z tym, kto miał – w ocenie mediów społecznościowych – zadatki na takiego. Długo by wymieniać wszystkie moje aktywności w tamtym okresie. Surfowałem, nurkowałem, przemykałem z jednego podbieraka do drugiego, a one łączyły się w jedną potężną sieć. Czasu na życie w realu mi nie wystarczało, zresztą to lipa, myślałem, jakiś archaik. Real jawił mi się jako najnudniejsza nuda, brak mu było… e, nawet szkoda o tym gadać. Realu nie było.

Dużo udzielałem się na różnorakich wydumanych portalach, rozsadzało mnie od środka młodzieńcze ciśnienie ukierunkowane na wyjście na zewnątrz, wewnętrze naciski powodowały, że musiałem dawać upust temu, co mnie nurtowało w sieciowym nurcie.

Prócz portali typu ple ple ple, zadomowiłem się na tych dla piszących, i to nie byle co, ale „ambitną" poezję i literaturę. Popełniałem jedno i drugie, wychodząc z założenia, że jak są dwa tory, po którym pojedzie mój talent, to skorzystam z pełni możliwości.

Ambicji mi nie brakowało. Pisałem nawet więcej niż mógłbym wcześniej przypuszczać. Głębia sztuki wciąga, głębiej i głębiej. Czułem, że moje pisanie jest głębokie, odkrywcze, wstrząsające. Aspirowałem do bycia big fishem, któremu (której?) choroba kesonowa nie zagraża. Na wszelki wypadek starałem się za dużo nie nadymać, w wyważony sposób epatowałem mądrością, wyższością, przenikliwością rzucanego spojrzenia na świat splatany siecią. Jednym słowem – błyszczałem. Człowiek młody, to i głupi. Błyszczałem sam złapany na błysk. Tak było, dawno, dawno temu, aż wreszcie, dzięki Bogu, się zestarzałem. Zniknął młodzieńczy trądzik – to był pierwszy znak Drugi dały oczy. Zacząłem mieć kłopoty z trafieniem w odpowiednie przyciski, które otwierały wejście do sieci.

W wieku dwudziestu pięciu lat udałem się do Vision Express. Nieuchronność okazała się zbawieniem.

Wyszedłem z sieciówki ze szkłami korekcyjnymi w oprawkach Hugo Boss. Żadne tam okularki 3D lub 5D z instalacją dźwiękowo-hukową, o nie! To były najprawdziwsze okulary, z krwi i kości. Udanie odwracały uwagę patrzących od moich wzrokowych niedoskonałości i nadawały twarzy jakby bardziej inteligenckiego, szlachetniejszego rysu. Zacząłem przy tym widzieć przez nie to, czego w wirtualnym świe-

cie wcześniej nie dostrzegałem.

Pokręciłem się w sieci jeszcze trochę, może nawet mniej, ale to wystarczyło, by stwierdzić naocznie i wyraźnie, że wokół mnie jest masa tych, co chcą zostać, podobnie jak ja, grubymi rybami. A że przybyło mi nagle ostrości podstarzałego spojrzenia i odrobiny mądrości, przeraziłem się. Przyszłość, w której w sieci grasują tylko same big fishe, rysowała się katastrofalnie. Każda sieć ma przecież swoją pojemność. Już nie dałem sobie wmówić, że możliwości jej rozciągalności są nieograniczone. Gdybym się nie zestarzał, pewnie bym w niej pozostał i jak nic groziłoby mi życie w śmiertelnym ścisku. Na szczęście czas młodości miałem za sobą i zacząłem myśleć, i postępować, mądrzej.

Człowiek, który robi za grubą rybą, w stadzie podobnych do niego, w ograniczonej siecią przestrzeni, staje się pozbawioną tlenu płotką… Niezła myśl… myślę, że nawet dość głęboka.

Nieuchronna zmiana w metryce wywołała ponadto potęgujące się z dnia na dzień znudzenie przewidywalnością mojego nierealnego bytu – ten to, tamten tamto, ci tu, a oni tam, i ja – nie gorszy od nich. Czułem ponadto, że tracę zmysły węchu i smaku w wirtualnym świecie. Wszystko zaczęło mi pachnieć niepachnieniem, za zapachy robiły już tylko ich nazwy, ale wiadomo od nich w nosie nie zakręci.

Człowiek starszy, to i mądrzejszy. Stwierdziłem, że nie dam się już dłużej sieci brać na lep.

Kiedy w ostatni piątek wdepnąłem w psie gówno na odwirtualnionym chodniku, poczułem jak pachnie prawdziwe życie. Nawet chętnie przyszedłbym w niewyczyszczonych najkach do domu, przebiegłbym dziarskim truchcikiem Joe Bidena po dywanie w salonie, żeby po chwili doświadczyć realnych połajań matki, ale… no bez przesady, muszę w nowy świat zagłębić się powoli, nie od razu hop! na głęboką wodę, nie od razu Kraków zastąpiono Warszawą…

W wieku dwudziestu pięciu lat poczułem, że jestem gotów na kolejne ćwierćwiecze, gotów, by stać się niezauważalnym, nieistotnym dla młodych i głupich, gotów by pomilczeć, nie pisać, bo… kurczę… nie mam jeszcze o czym, z niczym ku… z sieci wyszedłem.

Nie będę się spieszył, na zupełnym luzie zbiorę doświadczenia, przenikliwie popatrzę na to i owo, rozważę za i przeciw. Kiedy dorosnę do pisania o poważnych sprawach, o rzeczach istotnych dla realnego świata i dla nas wszystkich, jeszcze dziwnym trafem na nim żyjących, nie omieszkam o tym poinformować. Skrobnę coś… co?... no… tak na szybko trudno powiedzieć, ale na pewno coś mądrego i długiego, jak dajmy na to ten… chociażby Joyce Ulissesa.

Jedno dziś ciut mnie dręczy. Nie wiem, jak uratować tych, którzy pomimo mocno zaawansowanego wieku nie zmądrzeli tak jak ja, nie wyrwali się ze szponów sieci i piszą w niej odrealnione dyrdymały. Jak podarować im choćby rok prawdziwej słonecznej jesieni prawdziwego życia? Mam obawy, że kiedy się tego dowiem, może być za późno na wręczenie seniorom podarku. Z drugiej strony… wczoraj rzuciłem pobieżnie okiem na *Testament mój* – a po prawdzie poznanego niedawno z nazwiska Juliusza Słowackiego – więc zaklinam rzeczywistość *Niech żywi nie tracą nadziei*.

A teraz już ani słowa.

S*ilentium* est aurum.

Muszę wycisnąć z milczenia ile się da na przyszłość. Z czegoś trzeba żyć. Z doświadczeń wielu mądrzej-

szych ode mnie wynika, że na pisaniu mało kto się dorobił.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Jacek Londyn, dodano 19.11.2020 11:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.